Nr. 30. We Lwowie dnia 23. Lipca 1899. Rok 7.

Tydzień

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przegląd Słowiański.

Slovanský Přehled, sbornik statí, dopisův a zpráv ze života slovanského. Redaktor Adolf Černý. Ročnik I. s. 19 podobiznami a 2 mapkami. V Praze 1899. Knihtiskárna F. Šimaček, nakladatelé (str. 507).

Wymieniony wyżej tytuł świeżo ukończonego rocznika — to nowy przykład żywotności, dobrych chęci i prawdziwego zapału do pracy u bratniego nam narodu czeskiego.

Doniosłość powstania podobnego rodzaju pisma jest bezwarunkowo wielką, potrzeba zaś — wprost nagląca. Minęły co prawda owe czasy, kiedy można było objawiać swoje zdziwienie, jak ów powracający z wód czeskich biskup, który ze zdumieniem opowiadał, że tam gdzieś wśród Niemców żyje lud, mówiący językiem bardzo podobnym do polskiego. Minęły te czasy. A jednak tak wiele jeszcze pozostaje do zrobienia, aby było tak, jak być winno.

Wzajemne poznanie się jest koniecznem; trudno bowiem sympatyzować szczerze ze sobą, nieznając się. Czesi też na nas się nie oglądają, nie czekają na nas, lecz pierwsi rozpoczynają pracę w tym kierunku, czego jednym z dowodów jest chociażby ów nowopowstały Slovanský Přehled.

Program Słowiańskiego Przeglądu — wielki i bogaty, odpowiadający potrzebom chwili, i jego też główną będzie zasługą, jeśli słowa o wzajemności słowiańskiej przestaną być dźwięcznemi frazesami, a staną się czynami. »W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę«.

W myśl redaktora Słowiańskiego Przeglądu, zasłużonego na polu wzajemności czesko-polskiej Adolfa Czernego, takoż wydawcy F. Szymaczka, wydawnictwo to, jak w swoim czasie głosił prospekt, omawiać będzie to wszystko co tworzy współczesny żywot plemion słowiańskich, a więc pilnie śledzić będzie za rozwojem kulturalnym i dążnościami narodowemi, jak się one objawiają w literaturze, wiedzy i polityce, w prądach życia społecznego, jak też i we wzajemnych stosunkach szczepów słowiańskich, nie pomijając rzeczy tak ujemnych, jak i dodatnich, świateł i cieni.

»Równa miłość ku wszystkim — głosił prospekt — ale i równa sprawiedliwość« kierować będzie redakcją przy rozkładaniu świateł i cieni w imie hasła Palackiego: »Swój do swego, a zawsze dla prawdy«.

Wydawnictwem tym Adolf Czerny podjął na nowo ideę Jelinka i, jak zaznacza on we wstępnem słowie, pismo to będzie się kierować takiemi samemi zamiarami i prowadzonem będzie z takiem samem zamiłowaniem, jakiemi ongi kierował się upadły przed jedenastu laty Slovanský Sbornik, wydawany przez Edwarda Jelinka pod hasłem: „Poznajmy się!“ — i od tego ostatniego będzie się różnić tylko tym, iż całą uwagę swoją Slovanský Přehled skieruje ku objawom współczesnego życia świata słowiańskiego, albowiem Slovanský Sbornik Jelinka miał na celu zaznajomienie czytelników przeważnie z przeszłością narodów słowiańskich.

Pierwszy rocznik, składający się z dziesięciu zeszytów Słowiańskiego Przeglądu, poświęcono pamięci owych zasłużonych bojowników idei słowiańskiej: Edwardowi Jelinkowi i ostatniemu z wielkich apostołów słowiańskich Michałowi Hornikowi.

Zaglądnijmy teraz wewnątrz rocznika, przekonajmy się, o ile odpowiada on swą treścią, doborem artykułów zapowiedzianemu programowi.

Z artykułów bliżej nas obchodzących znajdują się tu następujące: Władysława Mickiewicza, syna naszego wieszcza: O rękopisie ksiąg pielgrzymstwa, Jarosława Vrchlickiego: Na jubileusz Ad. Mickiewicza, St. R. Lewandowskiego: Najmłodsze malarstwo polskie, J. Boreckiego: Sonety krymskie Mickiewicza, Czechofila: Przyczynek do dziejów stosunku czesko-polskiego, P. Chmielowskiego: Literatura polska w r. 1898, Fr. Kwapila: Nad grobem J. Słowa-

ckiego, R. Baudouin de Courtenay: Dr. Zofja Daszyńska-Golińska. Dalej przekłady niektórych poezji Kaz. Tetmajera (w tłumaczeniu A. Czernego), Jana Kasprowicza (w tłum, Fr. Kwapila), Mickiewicza sonety krymskie (w tłum. Boreckiego). Nader liczne tu są korespondencje z ziem polskich i bardzo wiele artykułów mniejszych rozmiarów, dotyczących rzeczy polskich np. o Muzeum polskiem w Rapperswylu, o czasopismach polskich, o jubileuszu Mickiewicza, o słowniku czesko-polskim prof Hory, o dramacie Sewera »Marjan Łuba« (przekład A. Czernego), o wystawie obrazów Styki, o pomnikach Śniadeckiego i Mickiewicza w Warszawie, Sobieskiego we Lwowie, o p. Godlewskiej (Exterus), o ś. p. Juljuszu Kossaku i prof. A. Lewickim, o nowościach polskich teatralnych i nowych czasopismach, o jubileuszu Sienkiewicza, Karola Brzozowskiego i t. p. Każdy zeszyt zawiera też sprawozdania z polskich nowości książkowych; omówione tu są np. Orzeszkowej Iskry, Słownik języka polskiego, Tetmajera Poezje tom III., Pamiętnik Towarzystwa literackiego im. A. Mickiewicza tom VI., St. Bełzy Nad brzegami Bosny i Narenty, Gasztowtta Thadée Soplitza, Ad. And. Kryńskiego Gramatyka języka polskiego, Balzera O następstwie tronu w Polsce, Chociszewskiego Cztery dramaciki na tle dziejów czesko-morawskich, Konopnickiej Nowelle w przekładzie czeskim Maternichowej i t. p.

Z artykułów dotyczących innych szczepów słowiańskich wymienimy: Sztiepanka o Bielińskim, znakomitym krytyku rosyjskim, z powodu 50 lat jego śmierci, L. Kuby p. t. Ślady muzyki greckiej, myśli i domysły o pieśni i muzyce południowo-słowiańskiej, Taborskiego o Połońskim, Rzehorza o stuletnim jubileuszu literatury małoruskiej (o Kotlarewskim), Trzesztika p. t. z Bosnji, Franki p. t. Literatura ukraińsko-rusińska, Legi o literaturze słowińskiej, Hnatiuka o Rusinach na Węgrzech, Trinki o Słowianach we Włoszech, I. Machala o A. Puszkinie i t. p., jak również szereg bardzo ciekawych artykułów, poświęconych przeglądowi literatur wszystkich szczepów słowiańskich za rok 1898, a więc o literaturze bułgarskiej (A. Balan), łużycko-serbskiej (A. Czerny), rosyjskiej (W. Doroszewicz), ukraińsko-rusińskiej (I. Franko), polskiej (P. Chmielowski), serbskiej (Ilijcz), chorwackiej (M. Marianowicz), słowackiej (Szrobar), słowińskiej (Fr. Vidic). Dalej czeskie przekłady — oprócz wymienionych wyżej z polskiego — poezji Aszkerca, Ciszyńskiego, Ilijcza, Połońskiego, Puszkina, Szewczenki . . .

Oprócz korespondencji ze wszystkich ziem słowiańskich, a więc z Łużyc, z Warszawy, ze Lwowa i Kalisza, z Odesy, z Dalmacji ,z Karyntji, z Udine, ze Sriedca, z Krajnji, z Petersburga, z Niżniego Nowogrodu, z Kijowa, z Wilna, z Poznania, ze Styrji, z Chorwacji, z Krakowa, z Moskwy, także i z Paryża (wyłącznie o polskiej kolonji), oprócz tych, nader obfitych w treść, korespondencji, każdy zeszyt zawiera rubryki: »Przeglądy i sprawozdania«, »Literatura, wiedza i sztuka«, w których omawiają się nowości literackie, naukowe, teatralne i t. p. (W piątym zeszycie omawia się Gramatykę języka polskiego, napisaną w języku serbskim przez Radowana Koszuticza).

Dodać tu jeszcze musimy, iż każdy zeszyt posiada kilka odbić fotograficznych niektórych wybitniejszych osobistości. Mamy więc portrety: Ad. Mickiewicza, Wł. Mickiewicza, prof. Baudouin'a de Courtenay, Bielińskiego, Słowackiego, Tetmajera, Styki, Połońskiego, Kotlarewskiego, Szewczenki, Kłosopólskiego, Kowaczowa, Kasprowicza i wielu innych. W niektórych miejscach podane są mapy objaśniające tekst. Wiele też artykułów zakańczają facsimile autorów, co znacznie podnosi zewnętrzny wygląd wydawnictwa.

Wielką usługę zrobił czytelnikom ostatni zeszyt, przyniósł bowiem oprócz zwykłego, zamykającego każde wydawnictwo perjodyczne spisu artykułów, jeszcze dokładny w alfabetycznym porządku ułożony spis omawianych w roczniku rzeczy, spis współpracowników i autorów, których prace były omawiane — w skutek tego korzysta się z owego rocznika niby z encyklopedji podręcznej, poświęconej najnowszym i najżywotniejszym kwestjom całego świata słowiańskiego.

Z powyższego przeglądu treści Słowiańskiego Przeglądu widzimy, że jest ona nader bogatą i ciekawą, zaznajamia bowiem rzeczywiście z ruchem umysłowym i artystycznym całego świata słowiańskiego. Wobec tego nie można nie czuć szczerej wdzięczności i szacunku dla redaktora tego tego pisma Adolfa Czernego i wydawcy Szymaczka. Wyrazem najpiękniejszej i najpożądańszej dla obu stron wdzięczności będzie, gdy się otrząśniemy z apatji umysłowej i w naszem społeczeństwie rozbudzimy ruch również w tym samym kierunku. A głównym pjonierem tego ruchu niech będzie Slovanský Přehled, niech on będzie wspólnym organem, niech to dzieło rozpoczęte tak pięknie, a tak dzielnie popierane przez Czechów znajdzie i u nas jak największe poparcie i niech swem hasłem: »swój do swego, a zawsze dla prawdy« — ożywi nasze społeczeństwo i wzajemne stosunki bratnich plemion.

Nie wątpimy, że Slovanský Přehled cel swój osiągnie.

Kilkanaście lat temu wstecz, możebyśmy się zawahali stanowczo powiedzieć, czy u nas ruch podobny potrafi się zwiększyć i pogłębić. Bo oto co pisał w roku 1884, dobrze obznajomiony z literaturą i wzajemnymi stosunkami Polaków i Czechów p. P. Byczkowski: »Co się tyczy Czechów, nie możemy im zrobić żadnego zarzutu obojętności względem nas. Niema prawie tygodnia, aby w Czechach nie ukazało się jakie dzieło, czy to traktujące o Polakach, czy też będące przekładem

z polskiego. Arcydzieła naszego piśmiennictwa prawie wszystkie są już przyswojone literaturze czeskiej, tak, że obecnie zaczynają Czesi zwracać uwagę i na rzeczy najnowsze, aby wszechstronnie poznać narodowy charakter Polaków i ich dążności. Dosyć rzec, że itnieje już w Czechach około 2000 przekładów z polskiego i kilkudziesięciu literatów pracuje na tym polu. — Co się zaś nas tyczy, to w Królestwie dwaj tylko literaci pracują dla utrzymania wzajemności polsko-czeskiej: pan Grabowski Bronisław, zajmujący się zaznajamianiem naszego społeczeństwa ze szczegółami narodowego życia Czechów i przekładaniem celniejszych utworów literatury czeskiej — i Miriam — tłumacz Jarosława Vrchlickiego....»

Obecnie jednak, zdaje nam się, że i my postąpiliśmy w tym kierunku, i że możemy żywić niepłonną nadzieję, że rozpoczęta i przez nas — chociaż w tak skromnych stosunkowo rozmiarach, praca, rozrastać się będzie i postępować. Oby tylko wytrwałości nie brakło, a sądzimy, że owoce tej tak wdzięcznej pracy długo na siebie czekać nie będą nam kazały.

H. Ułaszyn.

Gdy lipy kwitły.

Na wzgórzu, kędy gestą aleją lipową kończył się gród, w niewielkiem od niego oddaleniu rosły duże stare lipy. Wyniosłe, rozłożyste, szerokolistne przerastały wszystko, co się w starym ogrodzie znajdowało; z dalekiego gościńca, co biegł na przeciwległem wzgórzu za łąkami, polami i stawem można je było podziwiać, jak ciemniejsze, gęstsze i bujniejsze wspaniałemi głowami królowały wysoko nad masą zieloności i nad dachami zabudowań dworskich, niby strażnice-kapłanki starej rodzinnej siedziby.

Pod ich rozłożystym cieniem, kędy tylko w południe, ukradkowo, przez liście przebijały strzały palącego słońca, w największe skwary lipcowe przewiewnie było i pachło miłym chłódkiem. Nawet w godzinę zachodu, kiedy niskie słońce zmrużyło jasne oko za gaj przeciwległy i wody stawu rumieniły się krwawo, tu promień rażący nie siekł wzroku, bo pod liściastą frendzlą namiotu przyćmiono było i w kopule pod konarami ciemnawo.

O pień starszej z lip przyparta, stała duża dębowa ławka ze staroświecką w grubą kratkę poręczą. A zaś nad ławką o jakie dwa łokcie wyżej, już w gąszczu pierwszych gałęzi, czyjaś pobożna ręka wgłębiła w korę mały obrazek święty. Czas i zmiany powietrzne zczerniły farby, zatarły wszelki blask malowidła, kora, grubiejąc, coraz głębiej zamykała go w sobie, niemniej wizerunek tkwił niewzruszenie i coraz głębszy pomrok wieku tajemniczością świętość jego otaczał. Może to było jakie pobożne votum powracającego z boju husarza, może w sporach granicznych, jak Piotrowin, świadczył — tradycja wszelka o nim zaginęła, jedynie pozostała tradycja czci, którą stary ród właścicieli świętość pradziada otaczał. Tu pogodnym rankiem babka staruszka przychodziła szeptać pacierze, tu ojciec lubiał podumać w popołudniowe godziny i spokojnem okiem popatrzeć na całą dziedzinę, zmierzyć dokonane i mające dokonać się prace rolne.

Stok wzgórza pod lipami, obszerny i potoczysty, lśnił się kobiercem bujnych traw wśród zieloności; liljowe dzwonki podnosiły się pękami wysmukle, patrzały się gwiaździste rumianki i barwna smołka z poza powiewnej tomki wysuwała swoje rubinowe krzyżyki. Na stoczu wyniosły krzak kaliny był ulubionym etapem ptaszków; znużone fruwaniem, przypadały tu na chwilę, zaświergotały piosenkę i dalej mknęły.

Widok na okolicę otwierał się obszerny, bogaty formami i barwą. Wzgórza porosłe gajami, kwadraty zasianych łanów, wstęga łąki przecięta niewidzialnym strumykiem, skrytym wśród olch i krzewów, i w środku obrazu jak oko pełny, duży niebieski staw, otulony gęstem sitowiem, sadzony u brzegu perłami śnieżystych lilij. U stawu młynek turkotał i pienił się białą kaskadą; a dalej aż hen ku gościńcowi, między dwoma wzgórzami tuliły się chaty wioski, i tylko żóraw u studni podnosił swój dziób w niebo i po nad niskiemi dachami ciągnęły się smużki dymów.

Zaledwo stopniały śniegi i młoda trawka kiełkować zaczęła, już pod lipami stawało się gwarno. Było tu ulubione miejsce całej rodziny, zapewne od bardzo dawnych czasów. Piękne były stare lipy w różowych pękowiach, w przejrzystych zielonych szatach na wiosnę; najwspanialszemi jednak były w lipcu, w czasie pełnego rozkwitu swej dojrzałości letniej, kiedy gałązki pokryły się bujnie drobnem, płowem kwieciem. Od wysokiego wierzchołka do niskich nad ziemią gałęzi oblewały się słodkim, upajającym aromatem, i całe złociły się od pszczół, brzęczących na różne tony powietrzną złotą kapelą. W lipcu też bywało tu najgwarniej i najweselej. Zwykle na lato zjeżdżała się cała rodzina, młodzież wracała z naukowych zakładów, przybywali koledzy i liczni goście.

Dwór przemieniał się w kolonję wakacyjną i posiedzenia pod lipami nieraz bywały tak liczne, że skupiać się ku sobie musieli, aby nie wyjść z rozłożystego cienia zielonych namiotów.

Wprawdzie ruchliwa wakacyjna gromada nie odbywała długich na jednem miejscu posiedzeń. Dzień był, owszem, najrozmaitszemi zajęciami podzielony i dziwić się należało, jak czasu na wszystko starczy: dalekie wycieczki do lasów, pływanie łódkami, odwiedziny sąsiednich wiosek, jazda drabiniastym wozem całą gronadą na sianokosy i żniwa; a wieczorami nie rzadko zawzięte tańce, muzyka lub śpiew, a jeszcze później w mrocznych alejach ogrodu długie przy księżycu przechadzki — wszystko to gwarną gromadę młodzieży utrzymywało w stanie ciągłego ruchu; w popołudniowych godzinach jednak, kiedy skwar najwięcej dopiekał, także w dnie pochmurne, deszczem grożące, lub jeszcze od deszczu wilgotne, pod zieloną oponą dwóch starych lip najmilej było niejedną przesiedzieć godzinę.

Oto właśnie w chwili parnego popołudnia całe towarzystwo pstrą gromadą rozłożyło się na wzgórzu. Na ławce usiadły panie, zamężne córki, co roku z dziatwą spędzające lato u ojca; panny w jasnych sukniach letnich, w swobodnych bluzkach, paskiem spiętych z ciemnymi, jaśniejszymi i jasnymi warkoczami, spuszczonymi wolno na plecach, usiadły w trawie, każda z jakąś robótką w ręku i wyglądały jak kwiaty maków lub polnych róż; jedynie Frania, pełna, biała brunetka, nie znosząca żadnej roboty, w leniwem opuszczeniu wsparła się o ramię przyjaciółki i duże, ciemne, rozmarzone oczy przesuwa zwolna po obecnych, a potem w długiem zamyśleniu topi gdzieś w nieuchwytnej przestrzeni.

Młodzież męska, licznie reprezentowana, studenci uniwersytetu i paru gimnazistów, rozmieścili się w nieprzymuszonych pozach, jak gdzie kto chciał i umiał. Na wszystkich zaś leżało to piętno pełnego nasycania się wsią, przyrodą, powietrzem, jakie daje dłuższe zamknięcie w murach i wyczerpująca praca umysłowa. Gdzieniegdzie wśród towarzystwa tkwiły koszyki pełne agrestu i malin i coraz to któraś dłoń sięgała ku nim leniwie.

W zgromadzeniu spokój panował. Od godziny przeszło młody słuchacz prawa czyta coś z wielkiej księgi. Wszyscy słuchają w skupieniu, nie bez tego wszakże, aby od czasu do czasu nie ozwały się jakieś szepty na stronie, lub niespodzianie nie wybuchł krótki, szczery śmiech młody. Ale to tylko krótkie intermezzo, wszyscy nastrojeni są poważnie. Jedna Frania nie bierze w tem udziału. Od jakiegoś czasu oczy jej z uwagą utkwione w daleką smugę gościńca i senny wyraz znikł z jej twarzy bez śladu. Wreszcie podniosła głowę od ramienia towarzyszki i głośno zawołała: — Ktoś jedzie!

Wnet się ruch rozpoczął. Prawnik odłożył książkę na trawę, niektórzy z miejsca się porwali, głowy i oczy wszystkich zwróciły się w stronę gościńca. Tak, ktoś jedzie, każdy to widział. Zaczęły się spory o zaprząg, para koni czy jeden? faeton czy bryczka? Z sąsiedztwa ktoś, czy może ze stacji kolei? Mężczyźni wybiegli na wyższe miejsca, aby lepiej widzieć, któryś z małych chłopaków wdrapywał się już na gałąź lipy. Między pannami objawił się pewien interesujący niepokój: udzielały sobie przypuszczeń półgłosem i bezwiednie poprawiały włosy i suknie. Jedna z pań potrąciła o kwestję podwieczorku, druga zaniepokoiła się, czy ojciec w domu.

Na gościńcu tymczasem tuman kurzu przybliżał się coraz i można już było rozpoznać gniadą maść koni a od czasu do czasu w słońcu błysnęły szprychy kół. Wkrótce bystrzejsze oczy dostrzedz potrafiły znaną ze stacji bryczkę i na niej jednego podróżnego.

Zaczęto żywiej jeszcze snuć domysły, bo nikogo już z gości nie spodziewano się, kiedy w tem Frania podniosła się, stanęła, raz jeszcze bystrzej popatrzała na drogę i z zupełną pewnością rzekła:

— To Gromski!

Zwróciła się do przyjaciółki i spojrzała na nią z wielkim znakiem zapytania w oczach.

Wszczęła się wrzawa. Śmiano się z przypuszczenia panny Franciszki, sprzeczano się i żartowano. Jeden tylko ze starszych studentów, kulawy Warenicz podtrzymał domysł Frani.

— Owszem, rzekł — to bardzo być może. Gromski miał tego lata napewno przyjechać do kraju. Pisał do mnie o tem niedawno. Wszyscy umilkli, a jedna z pań zawołała natychmiast:

— Moja Walu, trzeba zajrzeć do domu. Wyszukaj ojca! Ja zaraz do kuchni nadejdę.

Przyjaciółka Frani powstała. Była to najstarsza z niezamężnych sióstr w domu i do niej w największej części porządek domowy należał. Wstała, strzepnęła rękami jasną sukienkę zasypaną skrawkami włóczek i podnosząc ręce do jasnych warkoczy ze spuszczoną głową oddaliła się w milczeniu. Frania szła za nią.

— To z pewnością Gromski! — szepnęła do przyjaciółki.

Tamta milczała.

— On, bo któżby inny? — mówiła dalej Frania. — Matka czekała go na czerwiec, wiem o tem. A przecież, pierwszą rzeczą przyjechałby do was. Nic nie mówisz, Walu?

— A cóż mam mówić? — odrzekła Wala zcicha głosem, który wydał się Frani dziwnie głuchym.

Spojrzała na nią. Cień gęstej alei rzucał zielonawy odblask na białą twarz dziewczyny. Szła szybko, wysmukła i cicha, jak jasny promień spokoju, tylko siwe jej oczy, obrzeżone czarną rzęsą zdawały się być ciemniejsze, niż zwykle.

Frania badała dalej.

— Wszakże kiedyś.... czy to już przeszło?

Wala wzruszyła ramionami.

— Kiedy to tam było! Byłam takiem dzieckiem....

— To powraca. I wiesz? Pierwsza miłość jest najniebezpieczniejszą.

Wala poruszyła ustami niechętnie.

— Zaraz miłość! Dzieciństwo! Dawno zapomniałam....

I poszła szybciej, jakby chcąc dalszych zwierzeń uniknąć.

Za chwilę pod lipami usłyszano wyraźny turkot wjeżdżającej w topolową aleję bryczki. Psy podwórzowe podniosły ogromny hałas, młodzi chłopcy z towarzystwa pobiegli na dziedziniec na wyścigi przez łączkę i płoty. Panie podniosły się także i żywo zbierając robotę, pospieszyły na przyjęcie niewiadomego gościa. Kulawy Warenicz sięgnął po swoją kulę i o ile mógł pośpieszył za niemi w aleję. Reszta młodzieży została jednak pod lipami.

Młody prawnik zaproponował dokończenie rozdziału. Towarzystwo przystało z ochotą, cisza wróciła i wkrótce brzmiał tylko monotonny nieco głos czytającego, a z boku konik polny wtórował mu donośnem ćwierkaniem.

Wśród słuchających była także i Wala. Po krótkiej chwilce jak się zaczęło czytanie, przybiegła zdyszana, jakby spłoszona czegoś, i cicho, nie robiąc szelestu i nie przeszkadzając nikomu, usiadła na dawnem miejscu. Wielki pies pokojowy przywlókł się za nią leniwie i głośno westchnąwszy, rozciągnął się tuż na trawie. Z czytania Wala nie słyszała ani jednego słowa. Z pochyloną głową, z ręką bezustannie migocącą igłą, z oczyma przysłoniętemi długą rzęsą, marzyła. Po za obecną chwilą była o całe lata wstecz. (C. d. n.)

Wanda Dalecka.

Z literatury historycznej.

Prof. Korzon: „Dola i niedola Jana Sobieskiego 1629—1674“. *(Kraków. Nakład Akademji Umiejętności).*

II. Niespodziewanie jednak nagromadziły się liczne przeszkody; Lubomirski, marszałek i hetman, odmówił podpisu, a Fredro w mowach swych wykazywał niebezpieczeństwo przedśmiertnej elekcji. Na domiar złego, z powodu niewypłaconego żołdu, skonfederowało się powtórnie wojsko koronne, a potem i litewskie. Pozostawała w karbach karności tymczasowo tylko dywizja regimentarza Czarnieckiego. Dla Polski związki wojskowe były prawdziwem nieszczęściem, ale Marja-Ludwika przywykła ich używać za środek do wprowadzenia na tron księcia francuskiego. Szerzyła ona przytem przedajność w wojsku, pamiętając przedewszystkiem o wpływowych wodzach. Czarniecki był przedmiotem jej pieczy, a i Sobieski otrzymywał subsydja za swą powolność i usługi.

Zaledwie związki wojskowe zaspokojonemi zostały, zaogniła się sprawa Lubomirskiego, która poczęła się coraz bardziej staczać ku przepaściom wojny domowej. Marja Ludwika z nieubłaganą mściwością postanowiła zgnieść Lubomirskiego, jako zdrajcę, a niedolą było dla Sobieskiego, że po nim właśnie wziął puściznę w urzędach marszałkowskim i hetmańskim. Lubomirskiemu z wszelką bezwzględnością uformowano proces o zdradę stanu. Nie żałowano pieniędzy na zakupienie fałszywych świadków i czyniono wszelkie wysilenia, aby zorganizować sąd sejmowy, powolny widokom królewskim. Sobieski nie dopraszał się urzędów po Lubomirskim, ale nawet ofiarowanych sobie przez pewien czas przyjąć się wzdragał. Buławę polną po Lubomirskim otrzymał też Czarniecki, a jakkolwiek ręka jego dźwignąć jej już nie zdołała, przyjął ją od króla z najgłębszą wdzięcznością.

Do oplątania Sobieskiego siecią intryg dopomogła Marji Ludwice śmierć Zamoyskiego. We dwa tygodnie po jego zgonie, widzimy Sobieskiego przy boku Marysieńki w Warszawie, a dwór królewski nalegał na szybkie zawarcie jawnego ślubu. Małżeństwo Sobieskiego wkrótce zostało zawarte z niezmiernym przepychem, a Marysieńka nie przestała czynić zabiegów, aby Sobieskiego obedrzeć z honoru i reputacji. Wkrótce po godach weselnych rozpoczął się taniec wojenny z Lubomirskim, który po powrocie ze Śląska przybrał wyraźną i groźną postać rokoszanina. Sobieski przyjął po nim urząd marszałkowski, który go naraził na liczne nieprzyjemności, a stale przywiązał do planów królowej.

W wyprawie przeciw Lubomirskiemu Sobieski wystawił 700 koni własnym kosztem. Wpływu jednak na pojednanie stron powaśnionych użyć nie potrafił. Sama kampania była dla niego niezmiernie uciążliwą, nieporządek w wojsku dokuczył srodze Sobieskiemu, a nieustanne gonitwy za Lubomirskim, narażały żołnierza na głód i zniechęcenie.

Na sejmie 1666 r. Jan Kazimierz nie dał się przejednać stronnikom Lubomirskiego, po-

mimo, że reprezentanci obcych mocarstw usilnie go do tego namawiali. Sobieski otrzymał tylko buławę polną i w tymże roku wziął udział w nowej wyprawie przeciwko Lubomirskiemu. Funkcyj hetmańskich Sobieski jednak nie wykonywał. Zastał uchwaloną na radzie wojennej dyspozycję marszu, którą ganił i która się też okazała najzupełniej nieodpowiednią. Mimo ustępstw partji rokoszan, nie zdołano zapobiedz bitwie pod Mątwami, która się skończyła dotkliwą porażką wojsk królewskich. I w tem niefortunnem starciu nie widzimy wpływu Sobieskiego na kierownictwo wojska. Królewska para, ufna w zwycięstwo nad rokoszanami, lekceważyła zupełnie stanowisko Sobieskiego, uważając go za swe powolne i służalcze narzędzie. Po bitwie pod Mątwami, chciano na niego zwalić odpowiedzialność za popełnione błędy króla. Nareszcie gdy nastąpiło uroczyste przeproszenie króla przez Lubomirskiego, rokoszanin, ściskając dawnych swych kolegów, w końcu stanął przed Sobieskim, wziął jego rękę i położył sobie na głowie w milczeniu.

Wraz z rokoszem Lubomirskiego upadła i sprawa elekcji za życia Jana Kazimierza, ustępując miejsca elekcji, która z chwilą abdykacji króla, musiała w naturalnym rzeczy porządku nastąpić.

W tej dobie przejściowej Sobieski, a raczej Marysieńka, nosi się z myślą opuszczenia kraju i osiedlenia się we Francji. Korespondencja z ministrami francuskimi jest nawet żywą, a warunki, wymagane przez Sobieskiego, wcale nie grzeszą skromnością. Żąda on od Ludwika XIV go buławy marszałka Francji, godności księcia para Francji, oblatowanej w parlamencie i z ustawą dogodną dla żony; nadto orderu Świętego Ducha ze wstęgą błękitną i dóbr wartości 400,000 liwrów, na których miał być oparty tytuł książęcy. Sobieski chciał mieć wstęgę błękitną i godność marszałka Francji dość wcześnie, aby mógł okazać się w nowych oznakach francuskich zaraz po elekcji, na której zamierzał złożyć swoje polskie urzędy. Sobieski wymawiał sobie możność przyjazdu z powrotem do Polski, tak w interesach Francji, jakoteż we własnych sprawach domowych.

O wyprzedaniu się z dóbr dziedzicznych nigdy nie wspomniał, a więc nie myślał; jeśli zaś żądał darowizny dóbr od króla francuskiego, to nie z innego powodu, tylko z braku własnych rozporządzalnych funduszów na kupno. Jego układy ze spadkobiercami Zamoyskiego, przekonywają o niezmiernem zadłużeniu wszystkich majątków ziemskich. Tak np. Tarnów, wartujący 175 tysięcy, miał długów 200 tysięcy, a inne dobra w nielepszych przedstawiały się warunkach. Brak grosza z powodu niepokojów politycznych, dawał się dotkliwie uczuć i gdyby nie pensja francuska, Sobieski nie mógłby nawet zaspokoić potrzeb swojej żony, która wcale rozrzutną nie była. Pomimo niedostatku domowego, Sobieski wydawał pokaźne sumy na wspomożenie zasłużonych wojskowych, czem sobie zdobywał napowrót miłość żołnierza, utraconą w walkach z rokoszanami.

Profesor Korzon kończy tom I. opisem śmierci królowej Marji Ludwiki, charakterystyką tej pełnej intryganckiego ducha monarchini i ostatnich lat rządów Jana Kazimierza.

Autor zgromadził starannie wszelkie dokumenty archiwalne, odnoszące się do powyższej doby i zawarł wielkie bogactwa szczegółów, odtwarzających nam nietylko Sobieskiego z żoną, ale prawie całe panowanie Jana Kazimierza. Rozpoczynając od rodowodu Sobieskich, autor wplótł w swą opowieść dziejową historję wielu osobistości wielkich i pospolitych, polskich i zagranicznych. Spotykamy się z opisem spisków wojennych, procesu zdrady stanu przeciwko Lubomirskiemu, dalej z sejmowaniem i projektami elekcji, następnie z wyprawami przeciwko licznym wrogom i z tajemnymi konszachtami z dyplomacją zagraniczną. Dowiadujemy się z tych ustępów wielu rzeczy nowych, które nas zaciekawiają i pouczają, bądź to żywością opisu, bądź też trafnością i rozwagą historycznych wniosków.

Postać jednak Sobieskiego często nam niknie zupełnie w dziele, poświęconem jego doli i niedoli, czyniąc mimo woli wrażenie, że mamy studjum o panowaniu Jana Kazimierza traktujące. Nadto profesor Korzon zgromadził bogaty materjał historyczny, przedstawił nam nietylko publiczną dolę i niedolę Sobieskiego, ale jego prywatne troski, przyzwyczajenia i najszczegółowsze sercowe przygody. Naturalnym rzeczy biegiem, autor wtajemniczył nas we wszystkie sekrety gabinetowe Marysieńki, jako pani Zamoyskiej, a następnie pani Sobieskiej. Dowiadujemy się o romantycznym zawiązku miłości, o całej korespondencji, o wszystkich schadzkach z cudzą żoną, nawet nie ukryła się przed nami ani jedna przywara Zamoyskiego i ani jedna kłótnia domowa z jego małżonką. Nadto autor odtworzył nam wszelkie przypadłości i słabostki Jana Kazimierza i Marji Ludwiki i powtórzył za Paskiem wszelkie plugawe obyczaje Prażmowskiego, które za niezbity dowód służyć nie mogły.

Wszystkie te gospodarskie i miłostkowe opisy są niezaprzeczenie bardzo ciekawe, ale czynią dzieło rozwlekłem i z historją polityczną nie mają właściwie nic do czynienia. Badaczowi na nic się one nie zdadzą, a czytelnika zainteresuje niewątpliwie szczegół o tem naprzykład, że Sobieski szukał dla Marysieńki oślicy, aby się w jej mleku mogła kąpać, lecz wszelkie z Paska zaczerpnięte wieści o Prażmowskim, wydadzą mu się zbytecznemi.

(*Słowo* warszawskie.) *A. Rembowski.*

O psychologji ludów.

Emanuel Herrman: Przyczynek do psychologji ludów (Sein v. werden in Raum u. Zeit). W popularnym wykładzie prof. I. I. Janżuła przekład Jakóba Winnickiego. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8. 1898.

Rezultatem zbliżenia się psychologji do nauk społecznych jest wykrycie t. zw. psychologji masowej (Massenpsychologie) czyli psychologji »tłumu«, która dzisiaj ma znaczenie także praktyczne, chociażby w wielu procesach karnych, w których przestępstwo popełnionem zostało na tle roznamiętnienia masowego. Naturalnie, że rozpatrywanie masowej psychologji — tylko ze stanowiska prawa karnego — byłoby jedynie fragmentarycznem, ale badanie jej we wszystkich — ile możności — objawach życia społecznego - prowadzi konsekwentnie do studjów t. zw. psychologji ludowej, względnie narodowej, która stanowi wraz z przeciętnymi, z krzyżowania już powstałymi typami antropologicznymi — główną część składową — »duszy rasowej«, bez której »kwestja narodowościowa« byłaby niczem innem, jak tylko nadbudową rozwoju ekonomicznego. Zpopularyzowana przez prof. Janżuła rozprawa E. Herrmanna: »Sein und Werden in Raum und Zeit« — jest cennym »przyczynkiem do psychologji ludów«, z którym powinni się zapoznać wszyscy, dla których nauki i sprawy społeczne nie są — martwą literą.

»Człowiek nie uzmysławia sobie tego, co jest poza obrębem czasu i przestrzeni, uczy nas filozofja; z drugiej strony wszystkie zadania ekonomiczne spełniane być muszą tylko w ich ramach. »Czas i przestrzeń« — to żywioły, z któremi się wiąże i w których znajduje wyraz całe życie ekonomiczne. Taki jest najogólniejszy punkt wyjścia autora »Sein und Werden« i chyba nikt nie może zaprzeczyć, że jestto rzecz nie tylko uzasadniona, ale też ogólnie znana; jeśli zaś E. Herrmann potrafił z niej wysnuć całą wiązankę nader ciekawych spostrzeżeń to w istocie można powiedzieć, że znów powtórzyła się raz jeszcze w nauce historja z »jajkiem Kolumba«. Człowieka dzikiego, tj. myśliwca i rybołowca, względnie także ludożercę, nazywa E. H. »człowiekiem minuty« lub »człowiekiem chwili«. Dlaczego? Oto! — człowiek dziki »zdobywa sobie pokarm tylko takiemi środkami, które nie wymagają uprzednich trosk lub pracy i dostarczają ów pokarm bezpośrednio przed spożyciem . . . . Gdy polowanie się powiedzie, człowiek spożywa wielką ilość pokarmu; po niefortunnych wyprawach cierpi głód, lub posuwa się do ludożerstwa«. Pogląd ten stwierdzają liczne fakta, zebrane z życia ludów dzikich, o ile takowe jeszcze dochowały się.

Przytaczam najcharakterystyczniejszy. W roku 1831 w okolicy faktorji Yorku w Ameryce płnc., odbyło się zbyt marnotrawne polowanie na jelenie. Tubylcy spożyli tylko niewielką ilość mięsa, potrzebną do natychmiastowego zadośćuczynienia, całą zaś masę zabitych ciał rzucili w nurty rzeki. T. j. o przechowaniu zdobytej żywności na najbliższą choćby przyszłość — nie było mowy; dzicy zapasów nie robią, żyjąc rzeczywiście w »chwili« i »dla chwili«, podobnie jak cywilizowany »wolny najmita«, dla którego »oszczędzanie« jest z konieczności gospodarczej — pustym frazesem o tyle, o ile dla dzikiego jestto postulat nawet emocjonalnie nieznany i nieodczuwany zupełnie. Tak samo rzecz się ma z pojęciem »przestrzeni«. Dzikiemu, żądnemu coraz nowych rewirów myśliwskich lub rzek rybnych — przestrzeń, na której koczuje nigdy nie jest dość wielką; a co z tego wynika, nie znosi on ograniczeń przestrzeni w formie prywatnej własności ziemi — tak, jak i życie »dla chwili«, nie znające żadnych »oszczędności«, nie pozwala dzikiemu zrozumieć własności, nawet ruchomej. I znów m u t a t i s m u t a n d i s, robi popularyzator, prof. Janżuł porównanie do psychologji — proletarjusza. Idźmy jednak za autorem dalej — w porządku historycznym. Dziki staje się pasterzem — nomadą, lub nawet ima się pierwotnej, jednopolowej gospodarki rolnej. Tu już rozpoczyna się gromadzenie zapasów mlecznych, względnie w części także zbożowych i »czas« w gospodarce koczownika zaczyna odgrywać o wiele ważniejszą rolę, aniżeli u myśliwca dzikiego, a także przestrzeń — jest już bardziej określoną doborem pastwisk i pól urodzajnych.

Mimoto jeszcze jestto okres — jak się wyraża autor, »rozciągłej ekonomji pracy«, w którym nie zachodzi potrzeba zaoszczędzania drobnych ułamków czasu, a przestrzeń (ziemia) nie przestaje być wspólną własnością. Także stale osiadły rolnik nie dochodzi do okresu »napiętej ekonomji czasu« zbyt szybko; przeciwnie — oblicza on wszystko na dość dalekie terminy zasiewów i zbiorów, niechętnym jest dla reform pospiesznych i wogóle mało ruchliwym. »Co nagle — to po djable« mówi przysłowiowa »mądrość narodów« słowiańskich, a ogromne państwo Chińczyków jest typem tej małej ruchliwości — w czasie. Naturalnie, że zmniejsza się bardzo także ruchliwość w »przestrzeni«, rezultat stałego osiedlenia się; w każdym jednak razie widzimy u rolniczych narodów już—powiemy za Morganem, »cywilizację«, t. j. gospodarcze oszczędzanie czasu i przestrzeni. Ostatnią — ceni się nawet dla celów obronnych bardzo, czego dowodzą miasta średniowieczne z wąskiemi ulicami i wysokimi domami. Że z rozwojem oszczędzania czasu i przestrzeni — ustala się zwolna pojęcie prywatnej własności — rozumie się samo przez się; słusznie jednak autor o tem nie pisze, bo kwestja przejścia komun pierwotnych w »państwa«, opierając się na indywidualnem władaniu ziemią — jest za obszerną i zbyt skomplikowaną, ażeby ją można wyjaśniać tylko na zasadzie »życia gospodarczego w czasie i przestrzeni« i wynikających stąd motywów psychologji ludowej.

Współczesny, tj. wielki kapitalistyczny okres gospodarczy nazywa E. H. »okresem napiętej ekonomji czasu«, w którym oszczędność czasu i przestrzeni w gospodarce społecznej i w publicznej ruchliwości ludów kapitalistycznie wyszkolonych, dochodzi do zenitu. Pogląd ten ilustruje autor licznymi faktami z rozwoju gospodarki kapitalistycznej i przez porównanie najjaskrawszych psychicznie przeciwieństw tj. Chińczyka i amerykańskiego Yankesa. Przeciwieństwa te — są dla autora podstawą do wniosku ogólnego, że Zachód i Wschód — stoją dzisiaj gospodarczo i psychicznie na przeciwległych biegunach, do których grawitują ludy pomiędzy Pekingiem a NewYorkiem. Jestto rzeczywiście faktem, ale sądzę, że autor ogólne jego znaczenie — przecenia. Sam robi wyjątek co do wschodnich, a jednak handlowych, ekonomicznie i psychicznie nader ruchliwych żydów. Sądzę, że to samo w części dałoby się powiedzieć także o Ormianach i Japończykach.

Ci ostatni przeszli — jak wiadomo, prawie nagle z chińskiej nieruchliwości do amerykańskiej prawie gorączki społecznej. A czy podobna przyszłość nie czeka także Chin? Na to w książce E. H. nie znajdziemy odpowiedzi. Nie znajdziemy jej także w kwestji proletarjuszów, owych »ludzi chwili«, podobnych do ludów dzikich pośród narodów o »napiętej ekonomji pracy«. W części daje nam ją prof. Janżuł. »Jak usunąć — pisze — tę ważną troskę od tylu lat pochłaniającą miliony ludzi?« »Człowiek — odpowiada — raz tylko przechodzi każdy z okresów swego życia; po dojściu do dojrzałości, nie może powrócić do lat młodzieńczych, lub dzieciństwa i właściwych temu okresowi uciech i radości. I społeczeństwo, wstąpiwszy w okres dojrzałości, w epokę »napiętej ekonomji czasu«, tj. w nasz wiek obecny, nie może żadną miarą powrócić do cichego, spokojnego, nawet sielankowego po części bytu na wschodzie . . . . Trzeba pozostawić swobodę dalszemu postępowemu ruchowi nowych, kulturnych form życia . . . . Innemi słowy, najszersze użycie maszyn, natychmiastowe zużytkowanie wszelkich teraźniejszych i przyszłych udoskonaleń techniki, powinny otrzymać ogólne zastosowanie . . . .

Państwo w danym razie stoi wobec dwu zadań: z jednej strony, nie powinno powstrzymywać bezużytecznie przejścia prastarych form życia w nowe, z drugiej znów, obowiązane jest pomagać, drogą współdziałania prawodawczego i rzeczywistej interwencyi, do jak najłatwiejszego urzeczywistnienia tego przejścia i, przytem, o ile się da, bez cierpień dla narodu.

Dr. Kazimierz I. Gorzycki.

Z pism i książek.

Wł. Jabłonowski. W zatoce śmierci. (Nowele). Warszawa. 1899.

Utwory Władysława Jabłonowskiego pod tytułem „W zatoce śmierci“ — choć nowelami przezwane, nie są właściwie nowelami zwykłego typu. Są to raczej studja psychologiczne, obrazy tajemniczych, zagadkowych zjawisk duszy, rozważanych przez pisarza, nawykłego do myśli abstrakcyjnej, a który sam przez się jest duszą przeczuloną, wysubtelnioną, pełną tęsknoty i współczucia dla tych, co mają w duszy tęsknotę.

„Tęsknota — mówi pan Jabłonowski — to wielka pani, dla której za małem jest największe serce ludzkie. — Tęsknota to wielka ponura pani... ma ona kaprysy okrutne; czasami szarpnie znienacka pazurem, jak zwierz dziki... czasami miewa lot nietoperza i dotknie skrzydłem, gdy się go najmniej spodziewało i obrzydzi ci siebie samego — a niekiedy ścieka małą kropelką na mózg, jak ołów roztopiony i wypala tam ślady niezatarte; albo jak szarańcza spadnie na duszę i zniweczy cały plon jej życia...

Wiecznie jest młoda — wiecznie się zmienia itd.; nie zdołałbym tu powtórzyć wszystkich obrazów i wszystkich określeń, jakiemi autor uczcił swoje to przeklęte i umiłowane bóztwo — Tęsknotę...

Jest ta książka rzeczywiście księgą Tęsknoty: głębokiego, w sobie zamkniętego a pełnego współczucia weltszmercu. Czy to autor maluje szerokie, czarnoszare głębie morza, czy ogromne śnieżne stepy zauralskie, widzi przedewszystkiem straszną malancholję tych obrazów, aż do pragnienia śmierci (Ginna w pierwszej noweli). Autor nie jest malarzem, i koloruje niewiele; rysuje natomiast *en blanc et noir* b. dosadnie.

Ponieważ myśl przeważa u niego nad wrażeniem bezpośredniem, więc też i tok jego opowiadań graniczy z oderwanem rozumowaniem.

Myśli i porównań refleksyjnych natomiast znajdujemy u p. Jabł. bardzo wiele. Po za ową tęsknotą ukrywa się żądza harmonji, naprzód wewnętrznej człowieka z samym sobą, a następnie człowieka ze światem zewnętrznym Ból nasz pochodzi właśnie z niezgody naszej ze sobą, i światem; z przeciwieństwa między pragnieniem a działaniem, z naszego oderwania się od natury. W naturze masz harmonię zupełną chceń i czynów: jedno z drugiem się wiąże, zaplata, zlewa, staje się tożsamością. W nas kultura skrępowała samorzutność naszych pragnień i tysiączne postawiła zapory pomiędzy wolą a jej wcieleniem, — i tu jest jedno z głównych źródeł naszej Tęsknoty. Zdaje się jakby w przedstawieniu p. Jabłonowskiego cała kultura była wcieleniem ducha Tęsknoty. Czasami Tęsknota przez współczucie utrwala się w innej tęsknocie (Spadek po przyjacielu); czasami ona tęskni sama za sobą (tamże Leon się żali, że zapomina rysów twarzy swej ukochanej); czasami tęsknota ironizuje sama z siebie (Tamten).

Ton opowiadań jest cichy, przytłumiony: czasami tylko autor się ożywi i wichrami napełnia swe karty (Burza w zatoce śmierci), ale wnet ta burza staje się burzą wewnętrzną (Spotkanie). Ochotniej patrzy wogóle p. Jabłonowski wgłąb niż wszerz—na zewnątrz, i dla tego nowele jego — są to raczej studja analityczne — na temat tęsknoty.

A. Lange.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.